Lwów, 7. Lipca. Nr 80. Rok 1855.

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. 1 Zł. 20 kr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za na stęp. po $1\frac{1}{2}$ kr. i zadopłatę 10 kr. stepl. zakażdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

UCZONY.

Obrazek fantastyczny,

przez

Jana Zachariasiewicza.

IX.

DWIE DROGI.

(Ciąg dalszy.)

Tutaj chwycił się lichwiarz ręką za serce, ale do niego była jeszcze droga daleka i trudna, bo szła przez cyrograf stotysięczny. Pan Idzi wziął ten gest za afekt, i i chciał z niego korzystać.

— Zgubisz mnie pan, zawołał patetycznie, wydrzesz mi moje szczęście, moją przyszłość, ale nie pieniądze, bo tych nie mam!

— Pan gadasz jak w gorączce, odparł z zimnym uśmiechem lichwiarz, a ja gdy co dobrego dla pana czynię, to czynię po prostu z wyrachowania. Więc słuchaj pan mojej rady. Przez nabycie różnych skryptów zostałem głównym wierzycielem. Okazało się, żem się przerachował, i że cała fortuna pana długu mego nie wypłaci. Aby więc nie mieć straty, pomagam panu do świetnej karyery, w nadzieji, że wtedy zaspokojonym będę.

— A jużci jest to jedyny mój ratunek, przerwał zainteresowany tą przemową pan Idzi, a nawet mówiłem panu, że tylko na fundamencie świetnego marjażu możesz przyjść do swoich stutysięcy!.

— Toż wiedziałem o tem, i starałem się o to, ale jak widzę, że prędzej ja, stary pies, mogłbym się ożenić niżeli pan z całym urokiem swego imienia, fortuny i pozycyi. Dotąd wstrzymuję moich spółkredytorów od ksiąg publicznych, ale jeżli to dłużej potrwa to nie wiem...

— Nie nie, zagadnął szybko dłużnik, to długo trwać nie będzie, w krótce, w krótce ożenię się, i to wyśmienicie! Słuchaj stary lichwiarzu, wyśmienicie!..

— Czy to będzie tak wyśmienicie, jak miało być z wdową po jenerale? Cóżby się było stało, żebym nie był przysłał panu jej listy własnoręczne i weksle...

— To ty... panie Szostakiewicz?... ty w tej siwej kapocie miałbyś na tyle sprytu....

— A panna Krystyna z Podolu, cóż panu powiedziała, gdyś jej najczulszą swą miłość wyznawał?.

— Więc wiesz o wszystkiem?... *cent mille diables*....

— Jestem wierzycielem pana. Każdy włos na pana głowie policzony, i wiem o wszystkich pana krokach, zamysłach i nadziejach. Gdybyś chciał dzisiaj być jeszcze tak lekkomyślnym i na jaką niebezpieczną słabość zachorował, którąby wymagała wód zagranicznych, zapłaciłbym panu podróż do Karlsbadu i dałbym panu jeszcze na przyzwoite utrzymanie. Myślisz pan, że z miłości chrześcijańskiej? gdzie tam! z wyrachowania! Osoba pana jest dla mnie dzisiaj jedyną hypoteką, a im wyżej jej kurs w świecie stanie, tem pewniejszym jestem moich pieniędzy... Oto masz pan 3 tysiące, jedź pan na św. Jana do Dubna, a tam zastaniesz pan szlachtę z całej okolicy i szlachcianki cieplutkie. W gospodzie pod białą gęsią będzie pana czekać asygnat na parę tysięcy, gdy tego potrzeba będzie! I tak szczęść Boże!.

Zanim pan Idzi mógł przyjść do siebie i słowa lichwiarza należycie rozważyć, liczył już tenże na stole pieniądze, a liczył ważnem holenderskim złotem.

— Więc kiedy już wiesz o wszystkiem — przemówił po chwili dłużnik— to ci i to powiem, że twoja rada wyjąwszy pieniądze, nie jest mi na czasie. Właśnie ułożyłem już sobie, ożenić się z pewną damą, familii starożytnej i niepospolitej fortuny. Maryaż tu postawi mnie na nogi, a twój dług dobrze ulokuje.

— Dwatysiące pięćset, sześćset... co za dama? siedemset, ośmset.

— Z Galicyi.

— Dziewięćset, trzy tysięcy! Bogata?

— Ma obszerne dobra gdzieś w Karpatach, a jaki przepyszny pałac i park angielski! Panie Szostakiewicz, gdybyś ty mógł zrozumieć co to jest za rozkosz, mieć pałac i park angielski!... Ach ty stary kutwo, odżyłbyś na lat pięćdziesiąt! Widziałem u niej pejzaż, jej własną ręką szkicowany, co to za pyszny pałac a co za park, a jaka perspektywa gór karpackich!..

— Widziałeś pan ładny obrazek, odparł zimno kapitalista, i na fundamencie tego obrazku chcesz się pan żenić?...

— O nie, nie zawołał, żywo narzeczony, tak głupi jeszcze nie jestem, uczynię w przód potrzebne kroki, aby się dowiedzieć o stanie tego majątku.

— Wyprzedziłem pańską ostrożność. Ta bogata dama to zapewne panna Kamilla.

— *Cent mille diables...*

— Zamiast obrazka, okaże panu najprawdziwszy extrakt tabularny, sporządzony przez mecenasa we Lwowie, z wydatkiem stu złotych, które pan do ogólnego długu policzyć raczysz.

Pan Idzi patrzał osłupiałym wzrokiem w rozwinięty papier, pot zimny występywał mu z wolna na czoło, a starannie ufryzowana głowa starego kawalera posiwiała w tej chwili o kilka włosów więcej.

Po chwili zamyślenia uśmiechnął się sarkastycznie, podziękował lichwiarzowi za dobrą radę jego, a przyjąwszy wydatek stu złotych, i zaliczone dwa tysiące do sumy długu, przyobiecał święcie do Dubna na św. Jan pojechać.

— A teraz, zakończył pan Idzi, pozwól mi panie Szostakiewicz zakończyć tę komedją z panną Kamillą i *Cent mille diables!*.. Adieu, adieu!

Stary lichwiarz schodził z zadowoleniem z pierwszego piątra, bo miał przekonanie, że zrobił dobry interes. To samo przekonanie miał i pan Idzi, a pogwizdując sobie na ulicy, szukał końcówek do dwutysięcy... i znalazł:

Uczucie gorące, i serce tęskniące,
To niby tysiące, niby dwa tysiące...

Pan Idzi był to prawdziwy rozbitek swego czasu. Były żołnierz, były magnat, były polak, były adonis i Bóg wie czem tam był jeszcze; ale i to pewna, że był także i poetą, przetłumaczył bajki Lafontena, i wydrukował je w Lipsku, czcionkami na ten cel z srebra lanemi. Taka przynajmniej była fama. Otóż z tego zawodu, pozostała mu jeszcze ta słabość do końcówek, w których ówcześni poeci całą poezyi istotę zamknąć chcieli.

— *Dobrze mi mówili,*
Nie chodź do Kamili,
Ta piękność łudząca
Niema i tysiąca —
O nadziejo zgubna,
Zawieź mnie do Dubna!..

I tak pogwizdując sobie, śmiał się pan Idzi do siebie, i podziwiał swój talent rymotworczy, który mu przypomniał czasy Puław, i dowcipnego poetę szambelana. W takim to złotym humorze wszedł do kamienicy gdzie mieszkała panna Kamilla.

Przypomniemy sobie, że panna Kamila zaraz przy pierwszych oznakach grożącej ruiny familijnej, wyniosła się za kordon, do majętnych krewnych. Podróż ta miała wprawdzie różne wypadki, ale pominiemy je, jako rzeczy dzisiaj tak mało znaczące. Powiemy to tylko, że panna Kamila mieszkała u krewnych w stolicy nadwiślańskiej, a imponując urodą i ułożeniem, w niektórych towarzystwach, zarzucała wędki na wszystkie strony, aby ułowić, lub być ułowioną. Rozmawiała bardzo wiele o parku i pałacu u podnóża gór karpackich, o rozległych dobrach i rozleglejszych jeszcze nadziejach jakiegoś spadkobierstwa. Była skromną, i naiwną dla skromnych i niedoświadczonych, wyzywającą i kokietującą dla podłysiałych i szpakowatych, emancypowaną dla ludzi wysokiego tonu, a nawet pobożną i pokutującą dla tych, którzy uważając każdą kobietę za jawnogrzesznicę, rozkoszowali tylko w czyniących pokutę Magdalenach. Wszystko to umiała genialna Kamila w należytem miejscu użyć, i to z takiem wyrachowaniem, że te różnorakie jej portrety nigdy się z sobą nie zeszły. Jej krewni za nadto zajęci byli sobą, aby kroki rozumnej kuzynki nadzorować. Lada pozór uwalniał ją od wszelkiej kontroli, dla tego wydarzyło się często, że wyszedłszy z domu w intencyi nabożnej, odwidzała miejsca, rzucając na jej osobę światło dwuznaczne, a przynajmniej nieprzyzwoite. Ale panna Kamila dążyła do celu, o wybór środków nie dbała wcale. Koniec dobry, wszystko dobre, myślała sobie w rozumnej głowie, a rozumowaniu temu nic dotąd nie brakowało, tylko właśnie tego dobrego końca.

Otóż szukając tego końca w zawiłym kłąbku stolicy wyszła dzisiaj na wieczór do pani Artemizy w tem przekonaniu, że najpierwszy jej adorator, pan Idzi, będzie na kartach u pana Aleksandra. Ale nieszczęsna dyplomacja pana Szostakiewicza popsuła jej szyki, a pan Idzi zamiast iść na karty, przyszedł za nią do salonu pani Artemizy, krzywiąc się jak najwidoczniej na tak niedobrane towarzystwo.

Pani Artemiza to prawdziwy piołun społeczny. Wysmukła jak bylica, zwiędła i zielona jak jej liście obwisłe, rumieniła się wieczorem od różu paryskiego jak owoc piołunowy. To też tylko popsute i przesycone żołądki lubiły gryzącą gorycz jej salonów, do której mieszały się czasem porzucone ostatki psujących się już słodyczy. Pani Artemiza była także niegdyś ulubioną słodyczą, lecz jak każda słodycz, skwaśniała i zamieniła się w ocet. Mimo to lubiła jednak otaczać się postaciami dawnych wspomnień, a jeźli sama tych minionych rozkoszy dzisiaj używać nie mogła, z niewysłowioną jednak usłużnością pomagała innym do awantur miłośnych, nazwawszy swoje salony: świątynią miłości. W niższej jednak społeczności nie najlepiej mówiono o szanownej westalce tego zakładu, lecz pani Artemiza, osoba wysoko urodzona nie dbała wcale o te języki złośliwe.

Kapłanami tej świątyni byli ludzie różnego powołania. Najwięcej jednak widziano tam uniformów garnizonu stołecznego, bo sam taki charakter wystarczył u pani Artemizy za wszelką inną rekomendacją. Salony więc te były podobne do jakiegoś odwachu, lub placówki obozowej, gdzie z każdym dniem zmieniała się straż i załoga. Mimo tej ciągłej zmiany szła zabawa u pani Artemizy zwykłym swoim torem i zdaje się że przybywający przychodzili tam z pewną instrukcją, opartą na tradycjach i zwyczajach

miejscowych. Ustępujący z tego posterunku zostawał swoim następcom pewne hasło i potrzebne notatki, a z tego powodu, nie widać było wcale w konwersacyi różnicy, to chyba tylko, że miejsce pułkownika od huzarów, zajął pułkownik od ułanów, albo jaki inny autorament. Stosunek zaś osób nie zmieniał się wcale.

Owoż w takiem towarzystwie przepędziła dzisiaj panna Kamila wieczorek, rozmawiając i spiewając w różnych językach, stosownie do tych, co ją słuchać chcieli. Najuważniejsza atoli publicznością był dla niej chudy, łysy, sążnisty pułkownik na pensyi z jakiegoś azyatyckiego autoramentu, o którym chodziły wieści, że był niezmiernie bogaty.

Właśnie w najczulszej z nim rozmowie zeszedł ją niespodziewanie pan Idzi.

Kamila była piękną co się zowie. Jej piękność atoli nie była ani eteryczną ani zbyt subtelną, na pierwszy rzut oka uderzała pełnością form, do kwiatu rozwiniętych, i nęciła każdym ruchem i spojrzeniem. Na salonach pani Artemizy była ona prawdziwą królową.

Obaczywszy wchodzącego Idziego, zmarszczyła brwi, bo się go wcale nie spodziewała. Ale to widoczne jej nieukontentowanie trwało tylko chwilę. Z uśmiechem na twarzy postąpiła kilka kroków naprzód, szepnąwszy w ucho bogatego Azyanina.

— *Nous sommes au bal masqué monsieur. il faut s'accommoder à sa masque!....*

— *Bon soir, Monsieur Gil,* rzekła słodko do wchodzącego, pan tutaj, prawdziwie.... myślałam, że pan na kartach... jak widać pan mnie kochasz!

— *Je vous assure...., Mademoiselle...* wybełkotał pan Idzi w kłopocie, niewiedząc od czego ma rozmowę rozpocząć.

Dla nabrania odwagi począł nowy gość rozglądywać się w towarzystwie, a nawet jakiś uśmiech złośliwej radości przebiegł po bladych jego licach, gdy blisko siebie ujrzał w rezerwie stojącego Azyanina. Myśl wesoła przebiegła mu po głowie, a zachmurzone jego czoło rozjaśniło się aż do blasku starannie zakrytej łysiny.

Spojrzał znowu na Kamilę, która oczu od niego nie odrywała, i myślał chwilę, nie wiem o czem, czyli o pięknych jej kształtach, czyli o końcówce do *„dwóch tysięcy."*

Kamila zaś wystąpiła w całej swojej otwartości. Wychodząc z tej zasady, że czasem i fama naprzód rozgłoszona przyczynia się nie mało do decyzyi, mówiła wszędzie i wszystkim, że jest z panem Idzim zaręczoną, i że tylko potrzebnych z Galicyi papierów wyczekuje. Tym to sposobem rad nie rad musiał się pan Idzi do opinii powszechnej zastosować, i narzuconą mu rolę przyjąć. Sam biedny nie wiedział, jak do tego przyszedł, a gdy się spostrzegł, było już za późno. Pocieszał się więc tem tylko, że przez to korzystne ożenienie się ureguluje swoje stosunki majątkowe. Później nawet zdawało mu się, że jakaś zapomniana struna ozwała się w jego sercu, a głos jej nazwał miłością. To też czule nieraz spędzał wieczorki z swoją narzeczoną, która tę ułudą doskonale podniecać umiała.

Dzisiaj jednak umilkła tu struna, a jeżli coś w sercu brzęczało to brzęczał, jakiś truteń, albo lichwiarza złoto holenderskie.

— Je suis sure, odezwała się Kamila że się na mnie gniewać będziesz, za dzisiejszy wieczór, lecz muszę ci się wytłumaczyć.

— O wcale nie, pani, odparł narzeczony, wszak noc na wschodzie liczą poeci do cudów świata, a jeżli nie wszyscy na wschodzie być możemy, to przynajmniej możemy się w gorącej wyobraźni tam przenieść, a to tem łatwiej jeżli obok siebie kogoś widzimy z Orientu...

Tylko poety szybkonoga fantazya
Może wyspiewać co Orient, co Azya!

Mimo tak wesołego wybryku pana Idziego, spostrzegła jednak Kamila jego ironiczne wejrzenie i uśmiech dwuznaczny który prawdopodobnie mógł się odnosić do stojącego o podal Azyanina.

— Ale, zapomniałem, dodał po chwili, mam jednak zawsze pani coś powiedzieć.

W salonie właśnie rozpoczęto taniec, przez co oddalenie się ich dwojga wcale nie spostrzeżono. Tylko Azyanin rzucił za nimi ukośne spojrzenie i mruknął pod nosem:

— Heureux coquin. (C. d. n.)

ZEMSTA KWIATÓW.

(Z Frajligrata.)

We śnie na węzgłowia puchu
Dziewczę się opiera głową;
Senna rzęsa śni bez ruchu,
Lice pała purpurowo.

Tuż przy węzgłowiu dziewczyny
Wonne, świetne, rwane świeżo
Na krzesełku z rokiciny
W strojnej czarze kwiaty leżą.

W koło parność duszna, cicha
Ciasną szerzy się komnatą,
Okno zwarte nie oddycha,
Chłody płoszy skwarne lato.

Wszystko milczące, dziewicze,
Ale jakiż szmer tam cichy?
Słychać szepty tajemnicze
Między listki i kielichy.

W kwiatach lekkie drzą postacie;
Z woni duchów lud zrodzony,
W przeźroczysto mglistej szacie
Płynie z tarczmi i z korony:

Z płomiennego *róży* łona
Wstaje dziewczę a jej kosa
W koło szyi rozpuszczona,
W niej się perły lśnią jak rosa.

Za nią z kielichu *tojada*,
Co się ciemnym liściem stroi,
Rycerz zuchwale wypada
Z mieczem w ręku, w jasnej zbroi;

Złota zdobi go przyłbica,
Czaple pióro w dół się zgina,
Z *lilji* nurzy się dziewica,
Jej zasłoną pajęczyna!

Tu z *zawojka* murzyn wstanie,
Dumą błyszczy jego oko;
Na zielonym mu turbanie
Złoty księżyc lśni wysoko.

Z *szachownicy* jakiś śmiały,
Książę z berłem idzie dumnie,
A z *kosaćca* wypływały
Sługi jego zbrojno, tłumnie.

Chłopiec płynie tuż z *narcysa*,
Smętnem okiem w śpiącej tonie,
Staje nad nią i wysysa
Z jej usteczek róży wonie.

Ale tamci krążąc kołem
Pną się ku niej dziką zgrają,
I nad cichem sennej czołem
Takie pieśni jej śpiewają:

— «Dziewczę! dziewczę! okrutnico!
Nam być z ziemią nie z naczyniem,
W pstrym nam garnku blednie lico,
Łakniem, więdniem, marnie giniem.

„O jak błogo nam się żyło
Tam przy piersi matki ziemi;
Przez liść słońce nas pieściło
Pocałunki gorącemi.

«Wietrzyk chłodził nas w upały,
Wiotkie gnąc łodygi nasze,
W noc elfamiśmy igrały,
Kwietne rzuciwszy poddasze; —

«Nas mył deszczyk z rosą ranną,
Dziś nas poisz mętną wodą,
Powiędniemy — ale panno!
Nad twą zemścim się urodą.“

Cichną śpiewy — duchy wiszą
Nad dziewicy śniącą głową,
Głucha cisza a wraz z ciszą
Szmery wracają na nowo.

Jakże szemrzą, szepcą, gwarzą!
Jakże się jej lice płoni!
Jak je ciągle duchy żarzą!
Jakież morze pełne woni!

W tem zabłysła zorza ranna,
I lud duchów się rozpływa,
Na węzgłowiu piękna panna
Leży zimna i nieżywa.

Jeszcze z barwą mdłą na licach,
Sama kwiatkiem co przekwita,
Przy zwiędłych leży siostrzycach,
Wonią kwiatową zabita.

L..

JAK SIĘ U NAS ŻENIĄ.

Obrazek spółczesny.

I.

NA WĘGRACH.

(Ciąg dalszy)

Przedsiębiorcza mina pana Feliksa zrzedniała. I nic dziwnego! przez całą drogę układał najpiękniejsze plany wzorowego gospodarstwa Wyżniowy. Kwaśne pola drenował, łąki zatapiał, sztuczne pastwiska z jakiejś tam pokrzywy, stwarzał, żywe płoty sadził, rowy kopał, sprowadzał ogiery od księcia Sanguszki, a nawet puszczał się w słodkiej myśli agronomicznej, społem z panem Dyzmą Chromym za sławnemi *Holenderkami*, — W dalszej perspektywie ujrzał podróże do Włoch, Paryża, tego ulubionego Polaków marzenia! Wszystko to jak piękny sen znikło! — A przyznacie że nagle spaść z wysokości marzenia trzykroćstotysięcznego na dół Dolnej Wyżniowy, grubym extraktem tabularnym obarczonej, to zaprawdę smutne, bardzo smutne sprawić musiało uczucie!

— A zresztą ozwał się Zygmuntek do posowiałego

Feliksa — może ty będziesz szczęśliwszy. Spróbuj! co to szkodzi, masz prawnika z sobą, on ci napisze intercyzę.

Wszyscy w śmiech bo wszyscy znali dobrze Szpakowskiego.

— Spróbujemy! odpowiedział pan Józef i nie wątpię wcale że się nam uda, bo kiedy stary znający świat, poznał się na was, żeście goli utracjusze, dla tej samej przyczyny inaczej o nas sądzić będzie, zwłaszcza gdy ja, jak Zygmuntek kpiąco twierdzi, jako prawnik znający tabulę krajową, przedstawię Feliksa jako człowieka statecznego, dobrego gospodarza, a o konkurach ani wspomnę od razu.

— A o czem że mu tam prawić będziesz?

— O przemyśle! o fabrykach, które pan Feliks ogląda w celu przeniesienia onych do kraju ojczystego. —

— To djable pomoże!

— Że widząc w szlachcie polskiej przesądy przeciw wiadomościom fachowym i naukom przyrodzonym .....

— A wiemy że Feliks nie pogardza przyrodą, wtrącił znowu niespokojny Zygmuntek i zaśpiewał:

Jeszcze panny nie zna a już kocha czule
Wszystkie wdzięki widząc w pełnej jej szkatule!

— Nie przeszkadzaj Mundziu — otoż jako ukończony politechnik pan Feliks Chromacki, słysząc o sławnych wyrobach drelicharskich, pragnie takową fabrykę w swoich dobrach zaprowadzić, i dla tego zbliska przypatrzyć się jego tak sławnej fabryce.

— A mianowicie: najpiękniejszemu dziełu jego...

— Zapewne! przyznasz Zygmuncie, że to prawdziwe arcydzieło — majsterstztik kunsztu drelicharskiego; wszak powiadają że samych cwancygierów z matką boską jest tam parę korcy. —

— I to na podolską miarę dodał Zygmuntek.

— Choć-by i ze strychem. —

— Nie baj — słowem, przedstawię staremu Węgrowi naszego Feliksa, jako namiętnego lubownika drelichów.

— Osobliwie w postaci *dymek*.

— Wszystko jedno! w takim razie uważa się: *pars pro toto* — jest-to figura —

— Ale nie retoryczna! — i w tym względzie możecie sobie obydwa jednakowego gustu wzajemne dać zaświadczenia — mówił dalej niepoprawiony Zygmuntek — zupełnie tak samo jak-to czynią nasi autorowie, którzy prawem odwetu kadzą sobie nawzajem, i nigdy się nie zazakrztuszą.

— Ot bredzicie wszyscy! ozwał się pan Wincenty, podżyły już kawaler ze Sanockiego, który choć milczał gębą, jednak przytem w żywej był rozmowie z butelkami szanownego drelicharza.

Pan Wincenty, jakkolwiek możemy się już z nim nie zdybać więcej, wart jest osobnej wzmianki, odrębnego obrazku.

Był to sobie poczciwy, prostoduszny szlachcic starego kroju, herbu Rogala, jakich niestety! mało już gdzie zdybać, chyba w Sanockim, w tem gnieździe starych polskich szlachciców, ze wszystkiemi ich cnotami i wadami, zaletami i narowami. Odziedziczył on po ojcu wioskę nie złą w górach, odziedziczył i polską gościnność bez wrot i bez jutra. Mimo gości, którzy byli więcej gospodarzami domu jak on sam, szło mu czas niejaki nie źle, bo wypasał siwe wołki na połoninach, sadził za czasów ś. p. nieboszczki pańszczyzny (Panie! świeć nad jej duszą!) bajeczną massę bulby, którąby dziś niejedne księstwo niemieckie przez cały rok wyżywił, i dobywał, na drewnianych parujących kotłach Kasperowskiego z tej teutońskiej rośliny *prawdziwą* polską żytniówkę! Lecz czas nieubłagany, który wszystkiemu kark kręci, rozmaite smutne dla Sanoczanina przyniósł odmiany.

Bulba dostała migreny i bladaczki (snać jest rodzaju żeńskiego) — pańszczyzna skonała, więc i gorzelnia wraz z wołownią smutnemi pozostały pustkami. Ale dawna gościnność trwała zawsze, wrota stały otworem dzień i noc, kuchnia szlachecka — jak dawniejszy ogień Westy — nie wygasała nigdy, i jak dawniej bankietowano bez końca. A więc złe przyszły czasy, i nienawistna myśl o jutrze zawitała po raz pierwszy do głowy poczciwego Sanoczanina, aż wyłysiał biedak. W takiem to biednemu położeniu zasłyszał pan Wincenty o czarodziejce węgierskiej od swego arendarza, handlującego po ziemi węgierskiej, i wyruszył próbować szczęścia.

— Ot bredzicie! ozwał się był pan Wincenty — a szkoda gęby — wolicie pić, póki wam pić daje poczciwe Węgrzysko. Przynajmniej kiedy daje nam kosza to nie *próżnego*. A że daje nam odkosza to dalipan słusznie; kocham go zato; bo tak uderzmy się w piersi, nie szlachetna to, nie szlachecka ta nasza expedycja na Węgry! Tfu! to nie po polsku jeździć za drelicharkami i chcieć je oszukać. Ona nie dla nas, my nie dla niej. Byłaby nieszczęśliwą z każdym z nas. W złą godzinę djabeł mnie opętał w postaci mojego Herszka, i wyszedłem na tym jak Zabłocki na mydle. Dobrze mi tak!

— No wielka rzecz! aleś się przynajmniej napił porządnie odparł Zygmuntek.

— Ale zato narobiłem sobie tyle niepotrzebnych wydatków na darmo, jeżdząc aż do Krakowa dla oporządzenia się.

— Jak-to aż do Krakowa po toś jeździł? ale bo to i ładne masz sukno na czamarce! gdzieżeś to kupił zapytał Zygmunt.

— Ładne ale i drogie, pewnie okpił cudzoziemiec.

— A jak że się nazywa?

— Nie pamiętam już. Jakoś dziwnie brzmi nazwisko — poczekaj no... nibyto.... tak jakoś.... na *draba* — — — aha! już wiem — mam go — nazywa się: *Draps*.

— Co? Draps mówisz, takiego kupca nie ma w całym Krakowie.

— Co też ty mówisz nie ma! w samym rynku jest, pamiętam przecież dobrze napis na szyldzie. Najwyraźniej po niemiecku stało: *Magazin des Draps*! oj prawdziwy drab.

Wszyscy w śmiech. Przyjął to obojętnie nasz Sanoczanin, i spory tylko połknął haust wina. Już to w lingwistyce sławny był pan Wincenty. On to zawsze, pisząc do cyrkułu zaadresował: liebliches Kreisamt!

Jeszcze wszyscy się śmiali z pana Wincentego: Drapsem przezywając, którytо przydomek został przy nim na zawsze, gdy otworzyły się drzwi i wszedł stary Węgier, barczysty, do grubego pniaka podobny, z wąsami jak u suma, a brodą jakby u pasiecznika.

Lecz za nim opowiemy, po co przyszedł, i co powiedział, przejdźmy na chwilę na przeciwną stronę, aby się dowiedzieć co w czasie tej pogadanki naszych konkurentów działo się w drugim obozie.

Na drugiej stronie domu był obszerny pokój, z którego szło się do alkierza, a z niego znowu do kuchni, dzielącej obie domu strony, w którejto zapewne miał być ów cwancygierami zaczarowany piec. Na chwilę przed przyjazdem pana Feliksa siedziało przy stole dębowym, dreliszkiem przykrytym, dwóch mężczyzn, a dalej trochę kobieta, z olbrzymią po piętę już ukończoną pończochą w ręku.

Kobieta była panna Katarzyna, ów wabik węgierski, który swoim dziwnie pięknym metaliczuym głosikiem przynęcił tyle ptaszków polskich. Była-to kwadratowata, silna i rumiana dziewczyna, więcej przystojna niż brzydka, ale tym powabem zdrowia, czerstwości i młodej krwi raczej, niżeli regularnością rysów lub zajmującej całości. Oczy miała czarne, żywe, pełne ognia, ale zarazem i praktycznego na świat poglądu; włosy także czarne, grube, trochę kędzierzawe, a ostre jak szczotka, przemawiały również za jej usposobieniem dzielnem, praktycznem i wcale nie romantycznem. Na czole bielszem od opalonej twarzy był mars głęboki, który zdawał się także dowodzić że z jej usposobieniem silnem nie bardzo bezpieczne żarty, co potwierdzały widocznie jej ręce grube, żylaste, których młotkowate pięści zdolne były odegrać przeważną rolę w wszelkiej sprzeczce domowej. Na ustach tylko tym u młodych kobiet najpiękniejszym i najwięcej pociągającym wdzięku, igrał uśmiech, w swej wesołości nawet praktyczuy, bo rubaszny, i był wyrazem dobroduszności, zwykłej usposobieniom niezepsutym, która umie i pogłaskać, choć pobije w potrzebie.

Przy stoliku siedział gospodarz domu z krótkim cybuszkiem w ustach, z wyrazem zajęcia niemałego na twarzy, której rysy były grubym, starym, ale podobniuteńkim obrazem córki. Naprzeciw gospodarza siedział inny mężczyzna, młodszy trochę, choć nie wiele od niego, który całą postacią i twarzą swoją był, jeżeli nie w pokrewieństwie rodu, to widocznie w powinowactwie myśli, usposobienia, i wychowania z gospodarzem domu. Palił także wonny Letinger z krótkiej fajeczki, i oba patrzyli uważnie w papier, mnogiemi cyframi zapisany. Na twarzy starego był uśmiech zadowolenia, na twarzy zaś młodego uśmiech pewnej dumy.

— No! no! mruczał stary kiwając głową, i puszczając pełne kłęby dymu.

— Tak! tak! potakiwał mu młodszy głową i dymem, a palcem i okiem wskazywał spore kolumny cyfer, jakby bateryе w ordynku stojące.

Trzaśnięcie z batoga, tak dzielnie wyexekowane przez Franka, zbudziło obu mężczyzn i zadumaną pannę Katarzynę.

— *Isztenuczek*! zawołał starszy po węgiersku: *Nowy teremtete Lendiel.*

Młodszy nic nie wyrzekł, ale wzrok jego i palce ku cyfrom zwrócone przybrały coś szyderczego.

Panna Katarzyna zerwała się. W tej chwili każdy by poznał że ta ogromna pończocha była dla jej własnej nogi przeznaczona, nogi massywnej, silnie i pewnie po ziemi stąpającej. Podbiegła ku oknu, i stanąwszy z boku, spojrzała z pewną uwagą na nowo przybyłego. W jej spojrzeniu było nieco ciekawości, a może i coś więcej, co na oczekiwanie wyglądało. Z taktem kobietom właściwym, poznała zaraz konkurenta w panu Felixie, chociaż ich dwóch siedziało. Co sobie pomyślała trudno odgadnąć, ale zdaje się, że pan Felix wydał jej się przystojniejszym od drugich; tak przynajmniej sądzić można było po spojrzeniu przelotnem, jakie rzuciła na młodszego Węgra. Jeżeli to spojrzenie miało być porównawcze, nie musiało wypaść na korzyść zatopionego w rachunkach ziomka, przez chwilę bowiem oko jej na niego zwrócone zabłysło szyderczem politowaniem prawie. (C. d. n.)

OBRAZKI WIEJSKIE.

Dorobkowicze.

(Dokończenie)

Po skończonem nabożeństwie gdyśmy wracali do domu p. Mateusz wybuchł w gniewie, i machając ręką krzyczał zaczerwieniony.

— Uważaj tylko, śmiał łajdak uklęknąć tuż przy mojej córce, pchać się bokiem na nią, pierwszy ucałować rękę księdza, oślinić ją, a potem śmiać się, że jego pani w tych ślinach musiała swoje usta brudzić! Ha! to cham! skórę ściągnę! zabatożę na miejscu! oczy powypalam! obedrę go z odzienia, i wypędzę na rozstajne drogi.

— Mężu! serce! życie moje, nie unoś się! — zawołała p. Mateuszowa, wyciągając ku niemu ręce. — Nie bądź tak okrutnym; na co go masz zabijać, ze skóry obdzierać, każ mu dać 50 ekonomskich, i won ze służby!

— Oho! to by była łaska dla niego. Co 50 batogów

znaczy dla chłopa, to facecja dla niego, a że mu ściągnę ubiór lokajski, nie zrobię mu krzywdy, bo chłop zawsze ucieka od cywilizacyi, woli być parobkiem.

— Przestań proszę cię na 50 — prosiła żona wstawiając się za Marcinkiem, który niebórak ani śnił co tu za porcja ekonomskich dla niego się gotuje.

— Papo dość 50, nieprawdaż panie — piszczała p. Teodozja zwracając ku mnie oczy, w których miał nibyto błyszczyć jakiś rodzaj wspaniałomyślnej litości.

— Państwo powinniście zupełnie przebaczyć Marcinkowi — odezwałem się i ja, bo dziki tylko człowiek bez wiary, bez oświaty mógłby się gniewać o to: że lokaj wprzód pocałował rękę księdza, a niżeli jego córka.

— Co znowu mówisz! ja mam być dzikim człowiekiem!?

— Jesteś nim — mówiłem zapominając, że jadę na cudzym wozie — bo choć mięsa surowego nie jadasz, ale pijesz krew ciepłą! Tyś gorszy od dzikiego, bo ten zabija człowieka, piecze i dopiero zjada, a ty żywcem zjadasz niewinne twoje ofiary, poświęcając wszystkie siły, wszystkie chwile twoich włościan, na korzyść twoją, na ich karku chcesz zbudować państwo, do którego Bóg cię nie stworzył.

— Tego nadto, to ubliżenie!

— Tak mości panie! ja nie jestem żoną dzikiego człowieka.

— Ach! mój papa ma być gorszym od dzika!

— Przestańcie panie, zapomnijcie może o niestosownem porównaniu, ale zastanówcie się nad niedorzecznością ukarania Marcinka; on nic nie winien.

— Winien, ja nie pierwszy rok żyję, wiem co sługa winien jaśnie państwu, wiem wszystko i nie potrzebuję, żeby miał mie ktoś uczyć.

Spojrzałem przed siebie, byliśmy już niedaleko domu, nie bojąc się więc już złych następstw mówiłem:

— Uczyli cię p. Mateuszu w Biały, nie wiem czyś potem był jeszcze w jakich szkołach, uczyli cię ludzie przez 46 lat twego życia, lecz źle cię nauczyli, zrobili z ciebie małpę, nie tylko nie podobną do chłopa ani do pana, ale nawet ani do człowieka, a ty chciałeś koniecznie być jaśnie wielmożnym; lecz trudno, przyjdziesz do tego tytułu dopiero wtenczas, gdy wypędzisz z serca głupią dumę, z głowy i oczów małpie widzenie rzeczy i wyrośniesz na człowieka.

— Proszę być cicho!

Szczęściem stanęliśmy przed dworem; bryczka moja była zaprzęgnięta. Kazawszy więc zajechać, wszedłem na chwilę do salonu, aby wyswobodzić Marcinka z rąk rozwścieczonej familii.

— P. Mateuszu, jeśli nie darujesz Marcinkowi, to rozpowiem po całym powiecie tę całą awanturę, nie będą mi chcieli wierzyć, żeby ktokolwiek mógł do takiego stopnia posunąć się, lecz gdy im dam słowo, bądź pan pewny że uwierzą.

— Gadaj, trąb, dawaj słowo, ja swoje zrobię!

— Roztrąbię i przed księstwem....

— Roztrąb i przed djabłem. Ja niedbam o cały powiat, jestem obrażony i ukarać go muszę, a zresztą co ci do tego, co masz za prawo wtrącać się do mojej sprawy? pytał się p. Mateusz groźnie, zwracając się ku mnie, lecz wnet się i odwrócił, bo p. Teodozja zaczęła piszczyć:

— Ach! ach! gdybym była spostrzegła tę całą historyję, nigdybym w rękę księdza nie pocałowała. Ach! mdli mię... i panna zemdlała.

Rodzice mocno przestraszeni poczęli ją oblewać kolońskiemi wodami, docucić jednak nie mogli. Nareszcie ja zdołałem podnieść p. T. na równe nogi, bo gdym powiedział:

— Patrz panie Mateuszu, jakąś to sobie wychował córkę, nie zdolną byłaby używać całej przyjemności wiejskiej, leżąc na słomie, przesiąkłej bydlęcemi wyziewami, wąchać gnojowe aromaty. Czy pamiętasz p. Mateuszu 4 klassę jak nam zadano na ćwiczenie, gdyśmy z wakacyi wrócili „opisanie przyjemności wiejskich.“ Ty na uciechę nauczyciela i kolegów zacząłeś twoje ćwiczenie od słów „wstawałem o 4tej rano i szedłem kłaść się na trawie lub słomie wyrzuconej z pod bydła, łeżałem zwykle przy drodze, przez którą szły wozy z gnojem, ja wąchałem gnojową parę, i czułem się weselszym i zdrowszym.“ Któżby to pomyślał wtenczas, że będziesz takim panem, że będziesz miał taką córkę. Popraw się, bo p. Teodozja nie z przyjemności ale z potrzeby, nie wąchać ale jeździć na gnoju będzie zmuszoną kiedyś.

— Nie wytrzymam! — wrzasnęła p. T. rzucając na mnie iskrzącemi oczyma.

Lecz ja nie czekając ukłoniłem się, podziękowałem za duecik i Łucją, wyszedłem z salonu, i usiadłszy na bryczkę opuściłem dóm, jakich bodaj najmniej było na naszej ziemi!

Potem słyszałem że Marcinka minęło pięćdziesiąt batów, odebrał tylko karę tuzańcową i won ze służby, bali się jednak pp. M. opinii powiatu.

D. W. B. Kopeć.

Rozmaitość.

* **Leon Ródkiewicz** należał do tej szczupłej garstki ulubionych artystów naszych, którzy przez lat tyle byli naszą roskoszą, i ozdobą razem tej sceny polskiej we Lwowie, którą do wysokiego podnieśli stopnia. Poodsuwani ze sceny, marnieją ciałem i duchem, póki przygarbieni potrzebami i swem nieszczęsnym losem do wczesnego nie pójdą grobu.

Najmłodszy prawie z pomiędzy nich, pierwszy Ródkiewicz smutną tę zaczął koléj. Około r. 1823 rozpoczął on swój zawód dramatyczny we Lwowie, przez lat trzydzieści pozostał w nim, z szczerem zamiłowaniem i żarliwą starannością pełniąc obowiązki

swoje, i sumiesnnie kształcąc talent swój. Że miał talent, i w wielu nawet rolach komicznych nie łatwy był do zastąpienia, my wszyscy mieszkańce tego miasta poświadczyć możemy, bośmy nieraz serdecznie naśmieli się, gdy nam przedstawiał stosowne do talentu swego role. Występując początkowie w niższych rolach komicznych, wnet o tyle się wykształcił, że i bardzo wiele wyższych stało się jego niezaprzeczoną własnością. Dwie role główne zostaną na długo w pamięci naszej, bo nieprędko kto w nich zastąpi zmarłego Ródkiewicza. Były to role: Miechodmucha organisty w Krakowiakach i Goralach, i rola Dyndalskiego w Zemście Fredry. I dziwne zrządzenie! ta druga rola była ostatnią rolą w jakiej go widzieliśmy w tym jeszcze roku, gdy wezwany na cel dobroczynny, odegrał ją z dawnym zapałem, prawdą, i z dawnem publiczności zadowoleniem. W jego usposobieniu komicznem ta najwięcej odbijała się właściwość, że umiał powierzchowność już swoją bez przesady w tak komiczny ułożyć sposób, że ledwie wyszedł na scenę, już się śmiać zaczynano!

Prócz ról komicznych odgrywał on także i role poważniejsze w dramatach, ojców, starych sług i t. d., — i chociaż nie celował w nich, ale zawsze oddawał je z wielką znajomością rzeczy. Przytem nadzwyczaj pracowity i cierpliwy, był on dla sceny naszej jednym z pożyteczniejszych członków; i nieraz wzbogacał ją rozmaitemi przekładami i przerabianiami. Nazwisko jego przez tyle lat publiczności tak ulubione, dzieliła z nim żona jego, którą jeszcze panną znaliśmy jako p. Marecką. i która rzeczywiście najpiękniejszą przypomina nam przeszłość tej sceny naszej, której przez wiele lat była najcelniejszą ozdobą. Obdarzona miłą nadzwyczaj powierzchownością, i głosem pieściwym, do serca przemawiającym, w rolach naiwnych należała do artystek pierwszego rzędu. Lecz dawno już przebrzmiały te świetne czasy sceny naszej, po której nie stąpają nawet dziś cienie dawnych talentów. Zmarły dziś już Ródkiewicz, oddalony został nagle bez przygotowania. Był to straszny cios dla artysty, cios sroższy jeszcze dla męża, dla ojca rodziny, której jego zawód teatralny jedynem na świecie był utrzymaniem. Jednej chwili za trzydzieści lat serdecznej i mozolnej pracy, rzucony był na bruk!.. na los szczęścia. Czyliż taki los nie mógł złamać serca biednemu artyście?.

Począł on wtedy szukać umieszczenia jako dyurnista w prywatnych zakładach. Zdolny do pióra i nadzwyczaj pracowity powinienby był znaleźć je łatwo. Tymczasem w pierwszem miejscu, gdzie usługi swe ofiarował, wręcz mu odpowiedziano, iż nie uważają go za zdolnego nawet za dyurnistę. Bo to dyurnistą być, to nie komedje grać — z naigrywaniem odezwał się do niego jeden z honorowych przełożonych, który i pojęcia nie miał o tem, że życie artysty dramatycznego jest jednym z najpracowitszych zawodów. Z łzami w oczach opowiadał o tem ś. p. Ródkiewicz, tak jego jak i wszystkich uderzył mocno ten brak serca i rozsądku tam, gdzieby go najwięcej być powinno.

Od tej chwili zaniemógł, i już więcej do zdrawia wrócić nie mógł. Dodajmy do tego, że trzydziestoletnią ciężką pracą zarobiony fundusik oddał w ręce... które umiały wziąć, ale oddać nie myślały po dziś dzień, choć taki fundusz świętym być powinien, bo to dziś grosz wdowi, to dziś ostatnie mienie sieroce. Złamany tylą ciosami, nie mógł je podnieść, i skończył, szczerze żałowany od kolegów, i od całej publiczności, która nazwisko jego zachowa w miłej pamięci.

Przyjechali od dnia 3. do 6 Lipca do Lwowa.

PP. Thullie z Tarnopola. Osmulski Władysław z Kulikowa. Kleczkowski Franciszek z Skomoroch. Czerkawski Ludwik z Meryszczowa.

PP. Czajkowski Hipolit z Bóbrki. Zagórski Wincenty z Podburza. Brzeżani Adolf z Stanisławowa. Kołaczkowski Adam z Stanisławowa. Padlewski Romuald z Złoczowa. Rozwadowski Wiktor z Babiniec. Szymanowski Franciszek z Stryja.

Jabłonowski Józef z Dothego Rudnicki Bronisław z Lubaczowa. Badeni Władysław hr. z Surochowa. Krzeczunowicz Ignacy z Jaryczowa. Łoś Tadeusz hr. z Narola. Zawadzki Józef z Stryja. Dzieduszycki Wacław hr.

Wyjechali od dnia 3. do 6. Lipca ze Lwowa.

PP. Potocki Adam hr. do Stanisławowa. Bąkowski Jan hr. do Rozdołu. Nahojewski Antoni do Czernicy. Skolimowski Julian do Sokołowa.

PP. Padlewski Aleksander do Doch. Dzieduszycki Jan hr. do Stryja. Ożarowski Konstanty hr. do Krakowa. Szumlański Antoni do Witwic. Gołaszewski Jakób do Krzywego. Gorajski Władysław do Bełzca. Szumlański Antoni do Witwicy. Gołaszewski Jakób do Krzywego. Romaszykan Piotr do Truskawca.

PP. Gnoiński Aleksander do Krasnego. Strzelecki Jan do Kukizowa. Paluszyński Józef do Ulicka. Bielski Kajetan do Byszowa. Obertyński Leopold do Tartakowa. Stadnicki Leon hr. do Nadyb. Szuszkiewicz Grzegorz do Stanisławowa. Gutowski Kaźmierz do Stryja. Romaszkan Zygmunt do Uherska.

Kurs telegrafowany z Wiednia 6. b. m. o g. 2 popołud

Augsburg za 100 złr. .	$123\frac{3}{4}$	Pożyczka 5%	— — —
Hamburg za 100 tal. banco	$90\frac{1}{4}$	Akcye banku	988
Londyn za 1 funt szterl.,	11 $59\frac{1}{2}$	Kolej północna	2008
Medyolan za 300 lirów	$122\frac{5}{8}$	Obl. ind.	$69\frac{3}{4}$
Paryż za 300 franków .	14	Nowa pożyczka z loteryą	$101\frac{3}{8}$
Agio duk. ces. . . .	$28\frac{3}{8}$	Pożyczka narodowa . .	$83\frac{5}{8}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski**

	Gotówka				towarem.			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	43	złr.	5	kr	45
Dukat cesarski	„	5	„	45	„	5	„	48
Półimperyał zł. rosyjski	„	9	„	48	„	9	„	54
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	55	„	1	„	56
Talar pruski	„	1	„	49	„	1	„	50
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	23	„	1	„	24
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„	93	„	30	„	94	„	—
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		70	„	15	„	70	„	45
5 proc. pożyczka narodowa		83	„	25	„	84	„	20

Lwów, 6. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 35 złr. — kr. do 38 złr. 45 kr. — Żyta po — złr. — kr. do — złr. — kr. Jęczmienia po — złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 11 złr. 30 kr. do 13 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do — złr. — kr. — Ziemniaków po — złr. — do — złr. — kr. Sąg drzewa bukowego 40 złr. — kr. do — złr — kr. Sosnowego po — złr. — kr. do — złr. w. w. Cetnar siana 3 złr. 7 kr. do 4 złr. 22 kr. Centnar słomy 2 zł. 32 kr. do 3 złr. 7 kr. w. w. Garniec 30 topniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 10 kr. do 4 złr. 25 kr. w. w.

Do dzisiejszego Numeru dołączony jest dodatek.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**

Dodatek do dziennika „NOWINY“ Nr. 80 z roku 1855.

Nouveautés en Musique

chez

H. W. KALLENBACH,

Libraire et Marchand de Musique à Leopol, Place du dicastère Nr. 41.

Adler A. La Capricieuse. Impromptu. op. 7. 1 fl.
„ „ Danse Hongroise 1 fl.
Ascher J. Mazurka de Traineaux. 1 fl.
„ „ Souvenir d' Enfance. op. 38. 54 kr.
„ „ Un mot du coeur. Idylle op. 39. 54 kr.
„ „ Fanfare Militaire op. 40. 1 fl.
„ „ L' eclair. Mazurka originale op. 42. 54 kr.
„ „ Prière. op. 41. 45 kr.
„ „ Bolero sur le Muletier de Tolède. op 44. 1 fl.
Beyer F. Chants patriotiques. Nr. 28. Partant pour la Syrie 18 kr.
„ „ Repertoire des jeunes pianistes op. 36. Nro. 44. Meyerbeer, L'etoile du Nord. 45 kr.
„ „ Bouquet de melodies op. 42. Nr. 37. Meyerbeer, L'étoile du Nord. 1 fl.
„ „ Roses des Alpes. op. 132. Nr. 1. Air Autrichien. Nr. 2. Air Styrien. Nr. 3. Air Tyrolien. chaque 45 kr.
Cramer H. Potpourri Nr. 117. Verdi, Il Trovatore. 54 kr.
„ „ Les larmes. Pensée caracteristique op. 115 45 kr.
Godefroid F. Les masques. Fête italienne op. 52. 1 fl.
„ „ 2de Sonate. op. 53. 1 fl. 48 kr.
Goria A. Nocturne de Concert. op. 74. 54 kr.
Gutmann A. Au Bord du Ruisseau, Melodie op. 17. 50 kr.
Heller S. deux Tarantelles. op. 85. Nr. 1. 1 fl.
„ „ „ „ „ „ Nr. 2. 1 fl. 20 kr.
Herzberg A. Justine, Sophie. Deux Polka Mazurkas. op. 39. 30 kr.
Kątski A. Souvenir de Cracovie. Improvisation, op. 150. 1 fl.
Lefébure-Wély, Le nid de fauvettes. Caprice de Genre op. 83 45 kr.
Ravina H. Dernier Souvenir. Pensée poetique op. 31. 45 kr.
Ruckgaber J. Pensée. Romance sans paroles op. 53. 30 kr.
Schulhoff J. Souvenir do Kieff, Mazurka op. 39. 1 fl.
Strauss J. Souvenir Polka op. 162. 20 kr.
„ „ Glossen. Walzer op. 163. 45 kr.
„ „ Sirenen Walzer op. 164. 45 kr.
„ „ Aurora Polka op. 165. 20 kr.
„ „ Handels-Elite-Quadrille op. 166. 30 kr.
Talexy A. 3 Marches Turques. op. 69. Nr. 1. Marche du Sultan. Nr. 2. Marche d'Omer Pascha. Nr. 3. Marche danubienne. chaque 36 kr.
Voss Ch. Extase. Grande Etude de Genre op. 184. 1 fl. 10 kr.
„ „ Souvenir de Florence op. 185. 1 fl.
„ „ Sur l'eau, Couplets, op. 187. 1 fl. 20 kr.
„ „ Lazarilla, Danse Andalouse op. 188. Nr. 1. 1 fl. 20 kr.
Wolff E. 3me Scherzo, Allegro vivace op. 192. 1 fl. 12 kr.

Nowości literackie.

Alzog, Jan. Historia powszechna kościoła. Przełożona na język polski według piątego wydania niemieckiego przez J. z P. B. Tom I i IIgi w duż. 8ce w Warszawie 1855. Prenumerata na 6 tomów 12 złr.

Bujnicki Kaz. Stara panna, powieść współczesna. Wilno 1855 3 złr.

Chrystowski Stef. Sposób poznawania i domowego leczenia najważniejszych chorób epidemicznie panujących między dziećmi. Dla użytku wiejskich mieszkańców. Kijów 1855. 54 kr.

Don Kiszot dla dzieci czyli najciekawsze przygody Don Kiszota i Sansza. Z wielu drzeworytami i oprawie ozdobnej, Warszawa 1855. 2 złr. 42 kr.

Gumbiner J. L. Praktyczne gorzelnictwo obejmujące najnowsze i najlepsze sposoby wyrabiania drożdży, zacierania kartofli i zboża, prowadzenia fermentacyi, i dystylowania za pomocą pary, z opisaniem potrzebnych apparatów i machyn, przełożył z niemieckiego P. E. Leśniewski z 7 tablicami ryc. w duż. 8ce. Warszawa 1850 7 złr. 12 kr.

Historya nowożytna. Ciąg dziejowy od odkrycia Ameryki, aż do rewolucyi francuskiej, przełożył na język polski L. J. 2 tomy Warszawa 1854. 5 złr. 24 kr.

Korzeniowski Józ. Powieści i opowiadania. Serya III. zawiera: Jedynaczka. Dwa śluby. Wilno 1855. 2 złr. 24 kr.

Korzeniowski Józ. Powieści i opowiadania. Serya druga zawiera Scena na balu. Pojedynek. Wilno 1855. 2 złr.

Kosińskii Ad. Am. Obrazki dawne i tegoczesne. 3 tomy Warszawa 1855. 7 złr. 12 kr.

Kraszewski J. J. Djabeł. Powieść z czasów Stanisława Augusta, 2 tomy Wilno 1855. 6 złr. 36 kr.

Książeczka pierwsza obrazkowa dla dzieci z 14 rycinami kolor. w 4ce Warszawa 1855. 2 złr.

Leczebnik homeopatyczny domowy, tłumaczony z dzieł doktorów Herynga, Hertmana i Szepmela przez J. P. Kijów 1854. 1 złr.

Martin Anais. Uwagi młodym panienkom poświęcone. Przekład M. Warszawa 1855. 1 złr.

Oczapowski Michał, Gospodarstwo wiejskie obejmujące w sobie wszystkie gałęzie przemysłu rolniczego teoryczno-praktycznie wyłożone. Wydanie drugie. 10 tomów Warszawa 1849 19 złr. 48 kr.

Potraw 1000. ciast i wetów podług najbieglejszych europejskich kuchmistrzów z dodaniem kilka słów o usłudze stołowej, Warszawa 1854. 2 złr. 24 kr.

Schlipf J. A. Nauka gospodarstwa wiejskiego podług najnowszych zasad popularnym sposobem wyłożona dla użytku praktycznych gospodarzy. Z niem. przetłumaczył P. E. Leśniewski 2 tomy Warszawa 1855 4 złr.

W księgarni **H. W. Kallenbacha we Lwowie** dostać można

O TRAWACH

i ogółowem z niemi postępowaniu

na zasadach z praktycznych doświadczeń
zebrane przez
H. ze Sławna Sławińskiego.

KARMA DLA BYDŁA

jej względna wartość i
czem można kartofle zastąpić,
przez
Hipolita Nędzowskiego.
Wadowice 1855. Cena tych dwóch dzieł 1 złr. 48 kr. m. k.

NOWY LEKARZ

czyli
SPOSOBY LECZENIA BYDŁA,
koni, owiec i innych domowych zwierząt, tudzież onych karmieniu i rozmnażaniu, przez
J. Mik. Rohlwes.
siódme wydanie zupełnie przerobione i nowemi doświadczeniami pomnożone.
Warszawa, 1853. Cena 2 złr. 24 kr. m. k.

POSTĘPOWI.

Powieść
przez
Henryka Cieszkowskiego.
Warszawa 1855.
Cena 2 złr. 24 kr. m. k.

MARGIER.

Poemat z dziejów Litwy
przez
Władysława Syrokomlę.
Wilno, 1855. — Cena 4 Złr. 30 kr. m. k.

Szkółka dla młodzieży

Pismo sześciotygodniowe
wraz z
dodatkiem literackim.
Rok piąty, **1854**, 8 zeszytów.
8vo Poznan. Cena 4 złr.

WIENIEC CIERNIOWY.

Powieść
Józefa Dzierzkowskiego.
2 tomy 8vo Lwów 1855. Cena: 3 złr. 45 kr.

Po cenie zniżonej:

Praktyczna nauka

O WYRABIANIU WÓDKI

z kukurydzy
to jest:
Jak robić zacier, drożdże sztuczne, podmłodę, jak wyrabiać i używać słodu, utrzymywać gniazdo czyli hołowicę, używać surowcu zielonego, czyścić naczynia, aby osiągnąć módz najwyższy wydatek spirytusowy, mianowicie: **z korca kukurydzy 11 garncy, z korca żyta 9½ garncy, z korca słodu 5 garncy okowity na 67** sztrychów Rychtera
przez
Romualda Piątkowskiego.
w 12ce Lwów. 1854.
Cena zniżona: 15 kr. m. k.

Handwörterbuch der deutschen Sprache,

nebst
den gebräuchlichsten Fremdwörtern, Angabe der Betonung und Aussprache, und einem Verzeichniss der unregelmässigen Zeitwörter
von
F. A. Weber.
Sechste, stereotypirte Auflage.
8vo Leipzig 1854. 12 Lieferungen, vollständig.
Preis: 4 fl. C. M.

Baxtera obrazy drukiem olejnym.

Zdjęcie z krzyża Pana Jezusa podług Rubensa, oprawione w ramkach 2 złr. 24 kr.
Chrystus Pan błogosławiąc chleb i wino, oprawione w ramkach 3 złr. 40 kr.
Familia święta podług Rafaela, oprawiona w ramkach 2 złr. 20 kr
Pan Jezus na krzyżu, oprawione w ramkach 4 złr. 20 kr.

(84. 12)

Podpisana
REPREZENTACYA DLA GALICYI
ces. król. uprzywilejowanej Tryestińskiej
AZIENDA ASSICURATRICE
WE LWOWIE
zabezpiecza równie jak w zeszłym roku
SZKODY NA ZIEMIOPŁODACH
PRZEZ
GRADOBICIE
wyrządzone,

bezpośrednio w biórze przy ulicy Pojezuickiej, naprzeciw hotelu angielskiego pod liczbą 175 2/4, lub też przez ajentów na prowincyi, na podstawie funduszu towarzystwa t. j.:

Wypłacając zabezpieczonemu całkowitą szkodę zabezpieczoną.

Taż sama **Reprezentacya**, jakoteż jej **Ajenci** na prowincyi udzielają **Żądającym zabezpieczenia** porzebne wyjaśnienia i blankiety do podań bezpłatnie.

Na listowne podania **Szanownych Stron** odpowiada **Reprezentacya** oznajmieniem premii, za której przesłaniem pod jej powyżej wyrażoną adresą udziela się zabezpieczenie od najbliższej 12tej godziny południowej **po odebraniu przesłanej premii**.

Listowne podania zawierać mają najprzód odpowiedź na następujące pytania w ogólności:

1) Nazwę miejsca, t. j. miasteczka lub wsi;
2) jak dawno zabezpieczenie Żądający w miejscu zamieszkały;
3) czyli można z **pewnością podać**, jak często wydarzały się w okręgu tego miejsca gradobicia, a przynajmniej, jak często w upłynionych ostatnich **osmiu latach**;
4) czyli sam poniósł w tymże miejscu szkodę;
5) czyli teraz mające się zabezpieczyć ziemiopłody nie zostały już gradobiciem, mrozami lub inuym sposobem uszkodzone.

Cò do kawałków pól w szczególności:

1) Nazwę kawałka pola, na którym zabezpieczyć się mający gatunek ziemiopłodu, o ile ta nazwa znana jest zamieszkałym w miejscu, i opis granic tego pola, tak, ażeby niezachodziła żadna wątpliwość co do innych pól lub kawałków. Mały planik piórem — pojedyńczo zrobiony — może najlepiej zastąpić opis wiele czasu zabierający.
2) Ilość morgów i korcy wysiewu z oznaczeniem gatunku ziemiopłodu.
3) Wartość pieniężną spodziewanego zbioru w monecie konwencyjnej i w liczbach kończących się na nulę.

We Lwowie, w maju 1855.

1szy Sekretarz: **Leon Ostrowski.**

2gi Sekretarz: **Konstanty Wodecki.**

Z Czerniowiec, nadesłane 24. Czerwca 1855.

Ulubiona artystka i pierwsza spiewaczka teatru Warszawskiego pani Ludwika Rywacka dała w tem mieście dwa koncerta 30go maja i 8go czerwca. Spiew tej znakomitej artystki zachwycił wszystkich słuchaczy. Dla tego też po każdem spiewie była kilkakrotnie przywołaną, a w końcu drugiego koncertu, obsypaną była bukietam i kwiatami od znakomitych dam miasta Czerniowiec.

Józef Rowiński,

Nauczyciel muzyki w Czerniowcach.

(130 2—3)

DO FAMILII HORODYSKICH.

Ktoby posiadał wiadomość o familii *Kajetana Horodyskiego* we wsi *Brykuli*, w cyrkule Tarnopolskim z ojca *Franciszka* zaś z matki *Małgorzaty z Czajkowskich* małżonków między **1790—1791** r. urodzonego, który w 1809 r. kraj swój rodzinny opuścił, raczy takową z powodu zajść sukcesyjnych udzielić do *Bióra wywiadowczego Wincentego Łempickiego, ajenta upoważnionego pod liczb. 67 w krakowskiej ulicy, w domu P. Stengla we Lwowie.* (120 3—3)